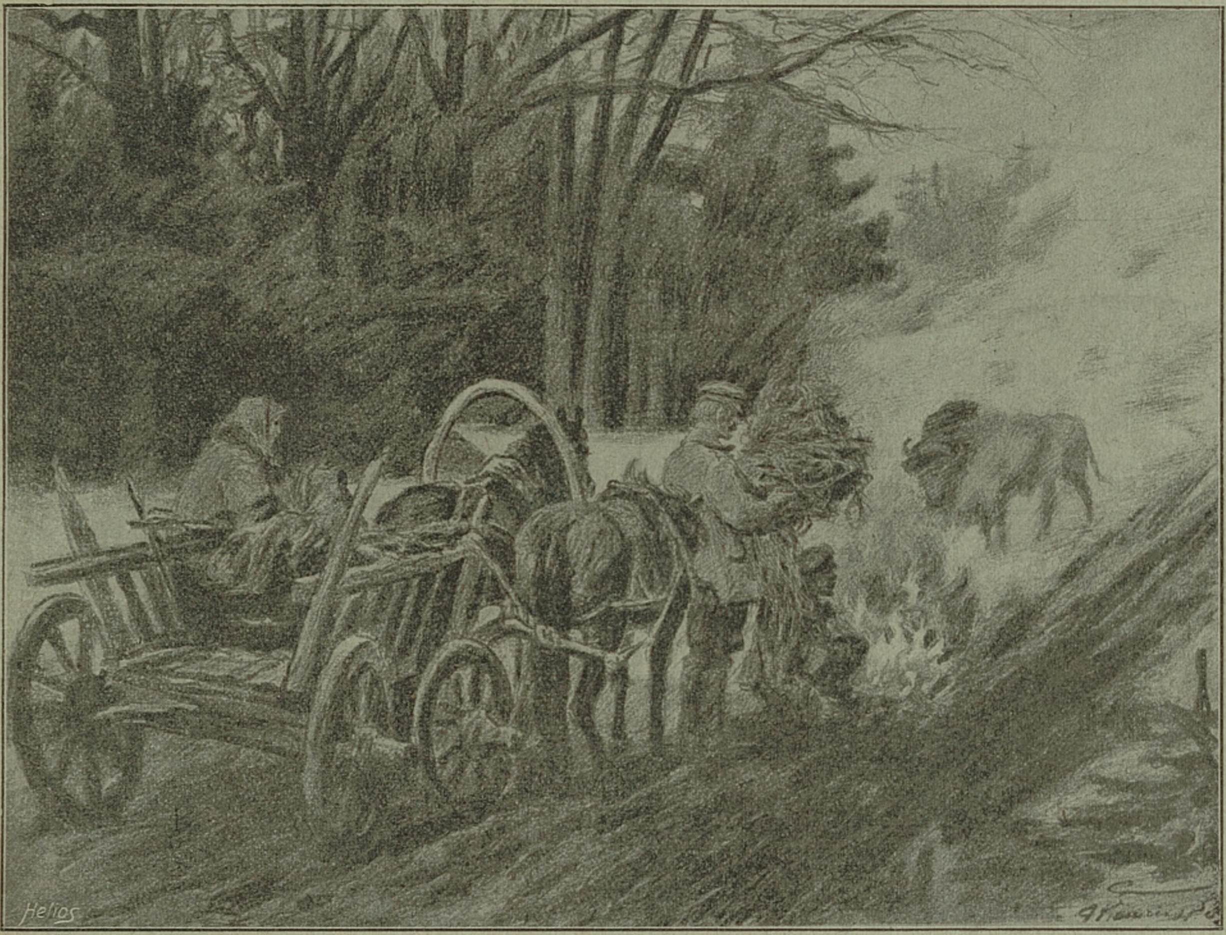
Cena zł. 1.30

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

15 Kwiecień 1926.

Nr. 8 (80).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI i ŁOWIECTWO POLSKIE





Hodowla bażantów w dobrach hr. Larischa-Mönnicha w Zebrzydowicach, Śląsk.

POLOWANIE NA GŁUSZCA.

„O czem tu marzyć na paryskim bruku?“ — pisał Mickiewicz, pożerany tęsknotą za ukochaną Litwą. Ta sama tęsknota trawi nas wszystkich, wyrzuconych z gniazd rodzinnych, z ukochanych ustroni, od których nas dzieli bolszewicki kordon, i o których nam wolno tylko marzyć wśród gwaru wielkomiejskiego życia. I teraz szczególnie, kiedy pierwsze tchnienia przybliżającej się wiosny przedzierają się aż do gwarnych, ruchliwych ulic miasta, powiew ten gdzieś z pól pełen świeżości i aromatu — budzi z nową potęgą tęsknotę — chorobę straszną, wyniszczającą powoli duszę. Jedynem wtedy ukojeniem są wspomnienia — kiedy otwierają się znów dalekie horyzonty, niebo przeczyste i słoneczne, i oddycha się znów szeroką, pełną piersią wolnego, szczęśliwego człowieka.

Poleska cudna wiosna!... pod ciepłym powiewem tają śniegi, wzbierają wartkie, spienione, wesołe strumienie, a czarno-zielone plamy obnażonych pól i łąk coraz częściej majaczą wśród białej jednostajności. W lesie coś się budzi, czuje się wprost, jak pod ciemną korą drzew poczynają się ruszać zastygłe soki, krążą w coraz szybszym życiodajnym ruchu, aż wreszcie w niepowstrzymanym pędzie

życia nabrzmiewają w bujnych pąkach drzew. Las staje się coraz gwarniejszy. pod ciepłą pieszczotą słoneczną, jak soki w drzewach, tak w mieszkańcach puszczy krew poczyna krążyć gorętszem, radośniejszem tętnem. Las rozbrzmiewa, ptaki bowiem chcą w pieśń zamienić całą radość odnowionego życia. Cudna wiosna!... czas przebudzenia, czas pieśni i miłości, a dla nas mieszkańców puszcz poleskich najgorętszy czas namiętności łowieckiej.

Polowanie na głuszce — królewskie łowy na królewskiego ptaka. Trzeba być myśliwym, by odczuć drżenie radości, ukryte w tem słowie.

Pamiętam z całą żywością i świeżością wrażeń moje pierwsze polowanie na głuszca, tak, jakby to było wczoraj. Marzyłam o niem przez całą zimę. Mąż mój, zawołany myśliwy, uczył mnie zimowemi wieczorami podchodzić do głuszca. Nielada musiał to być widok i jakże śmieszny dla ludzi, pozbawionych żyłki myśliwskiej: oto mąż mój naśladuje po mistrzowsku pieśń głuszca, ja zaś w dziwacznych ruchach posuwam się, to znów raptownie zatrzymuję w nieskończonych wędrówkach po staroświeckim salonie.

Na wiosnę byłam już gotowa stanąć do zawodów, choć mąż mój uprzedzał mnie z uśmiechem, że skakać w lesie będzie cokolwiek trudniej, niż na równej posadzce salonu. Na polowanie na głuszca zapraszaliśmy zawsze kilku dobrych myśliwych, wybranych z tysiąca. Sygnałem do przygotowań było gorączkowe przybycie leśnika Moroza z magiczną wieścią „Hraje".

Pamiętam te długie konferencje, prowadzone w gabinecie mego męża, gdzie zbierali się wszyscy leśnicy, aby zdać sprawę z każdego nieomal ptaka, znajdującego się w ich rewirze. Zaproszeni myśliwi brali też udział w naradach, w których ustalano aż do najdrobniejszych szczegółów wyprawy. Dziwiłam się nieraz poufałości i swobodzie tych rozmów, prowadzonych między ludźmi, oddzielonymi od siebie całemi wiekami kultury. Zrozumiałam później, że to łączyła nas wspólna namiętność łowiecka, nigdy nie uśpiona u tych ludzi pierwotnych, a obecnie potężnie rozbudzona u synów cywilizacji.

A więc pierwszy dzień polowania miał być nazajutrz... właściwie tej nocy. W hallu pożegnaliśmy się na kilka krótkich godzin wypoczynku, jakimś serdeczniejszym, mocniejszym uściskiem dłoni, tak, jakby wspólność wyprawy poczęła już nas łączyć serdecznem koleżeństwem.

Położyłam się i starałam zasnąć, głęboki, wypoczywający sen nie chciał zstąpić. Gorączka wyprawy ogarnęła mnie całą i pod powiekami majaczyły się wizje jakichś fantastycznych scen leśnych. O 1-ej zbudziło mnie lekkie stukanie. Zerwałam się i po chwili byłam już wystrojona w swój kostjum myśliwski. Czas tylko wychylić kieliszek koniaku— i w drogę! Mąż mój i panowie, mający dalsze stanowiska, wyprzedzili już nas o godzinę.

Przed gankiem stały dwie czy trzy maleńkie bryczki, zaprzężone w jednego tylko konia. Leśnik był jednocześnie furmanem. Wskoczyłam do swojej bryczki i ruszyliśmy kłusem.

Noc była nadzwyczaj ciemna, niebo zachmurzone, bezgwiezdne. Wiatr zerwał się przenikliwy. Bryczka sunęła cicho po miękkiej drodze. O kilkadziesiąt kroków od dworu przejeżdżaliśmy przez wieś. Chaty majaczyły się fantastycznie, w niczem niepodobne do starych znajomych, widzianych przy świetle dziennem. Żaden szmer nie zakłócał ciszy uśpienia, czujniejszy tylko pies zaszczekał krótko i urwał. Wyjechaliśmy w szczere pole, lecz nie na długo. Przed nami zarysował się las, tajemniczy, a nęcący, który po chwili zawarł się za nami.

W tej fantastycznej wyprawie nocnej, tak dalekiej od szarej codzienności, powrót do twardej rzeczywistości życia stanowiły wyboje i korzenie, któremi droga w lesie była usiana, a które boleśnie dawały się odczuwać. Najgorzej było z kałużami, — lodowata woda chlustała niemiłosiernie, a przy gwałtownych przechyleniach, nabierała się nawet do bryczki. Leśnik wyskakiwał wtedy na suchą ziemię i podtrzymywał bryczkę. W takich chwilach wydawało mi się, że cały las zalany jest wodą, a wehikuł nasz zamienił się cudem jakimś w łódź, utrzymującą się na powierzchni. Raz jednak zagrzęźliśmy tak głęboko w błotnistej jamie, że strach nas ogarnął pozostania w niej aż do rana. Muszę też przyznać, że z nieopisaną radością ujrzałam w oddali wesoły blask ogniska, przy którym już czekał mój mąż, Moroz i drugi leśnik, noszący przydomek księdza. Nazwę tę zawdzięczał swemu wyglądowi, przypominającemu raczej żywy relikwiarz, był bowiem obwieszony nieskończoną ilością koronek, szkaplerzy i medalików. Biedak był nieustannym przedmiotem żartów i docinków swoich towarzyszy, czem zresztą bynajmniej się nie przejmował.

Ksiądz został mi przeznaczony, jako przewodnik i razem zapuściliśmy się w las. Tak byłam przejęta pierwszem swojem polowaniem i obawą spłoszenia głuszca, że całą myśl i uwagę natężyłam w jednym tylko kierunku, możliwie najcichszego posuwania się za moim przewodnikiem. Nagle leśnik się zatrzymał i począł nasłuchiwać, uczyniłam podobnie, lecz najmniejszy nawet szmer mnie nie doszedł.

„Słyszycie, pani, hraje", szepnął mi ksiądz do ucha, lecz mimo całego natężenia, znowu nic nie usłyszałam. Aż wreszcie rozległo się ciche, dalekie kłapnięcie. Tak, to pieśń głuszca, poznaję ją z wybornego naśladownictwa myśliwych. A więc jest!—

zbudził się i gra, niepewnie jeszcze, jak gdyby był zaspany, ale napewno się rozbudzi, a wtedy rozbrzmiewać będzie pieśń po pieśni. Tymczasem ogarnia mię prawdziwa gorączka, chciałabym już jaknajprędzej podchodzić, lecz nie można, trzeba stać i czekać... aż ptak się rozśpiewa. Tymczasem wydaje się on czemś spłoszony. Leśnik tłumaczy mi szeptem, że pewnie tędy jakiś zwierz przechodził i musiał go nastraszyć. Czekamy, bojąc się poruszyć; tak upływają nieskończenie długie minuty. Aż wreszcie następuje upragniona druga część pieśni, w czasie której śmiało już można podchodzić.

Pieśń głuszca — gdyby mnie w tej chwili spytano, jakie pierwsze uczyniła na mnie wrażenie, nie umiałabym odpowiedzieć. Nie było to ani rozczarowanie, tak częste u nowicjuszy, którzy z ust wytrawnych myśliwych nasłuchali się opowieści bez końca o czarze tej cudownej pieśni, ani zachwyt tych ostatnich. Pieśń ta była dla mnie znakiem obecności głuszca — głuszca, o którym marzyłam i śniłam, była mi drogowskazem do niego, do pieśni tej musiałam dostosować nieopanowane jeszcze ruchy, które pochłaniały całkowicie moją uwagę, tak, że prawie nieczuła byłam na wszystko, co mnie otaczało, a co nie było bezpośrednio związane z podchodzeniem.

A podchodzenie było specjalnie uciążliwe, gdyż głuszec spłoszony śpiewał czujnie i łatwo mógł dosłyszeć najlżejszy nawet szelest. Jednakże dotarliśmy szczęśliwie prawie że na odległość strzału, kiedy nagle, bez żadnego widocznego powodu jakaś gałęź zaszeleściała — ptak urwał pieśń i — uleciał.

Zawód był tak silny, że miałam ochotę płakać. Głuszec mój bezpiecznie schroniony, mógł teraz dowoli się wyśmiewać z wykpionego myśliwca, któremu umknęła tak bardzo pożądana zdobycz.

Poczynało szarzeć i nie było już prawie nadziei, że zły los się odmieni. Z rozpaczy mojej wyciągnął mnie leśnik, szarpiąc lekko za ramię. Spojrzałam na niego, ,zamienił się cały w posąg nasłuchiwania. Uczyniłam to samo. Tak, słuch nie mylił. Głuszec grał i to niedaleko od nas.

Pieśń miłosna, zrazu nieśmiała, rosła w potęgę, rozbrzmiewała metalicznemi dźwiękami, jakby krzyżowaniem kling. Stanęłam, przeniknięta nawskroś — zaczarowana. Nie było jednak czasu do tracenia. Grunt był twardy i suchy, po kilkunastu skokach, znaleźliśmy się naprzeciw olbrzymiej sosny, z której zakochany ptak rzucał na cały las swe wezwanie miłosne. Ale teraz staje mi na przeszkodzie druga nieprzewidziana trudność. W niepewnem świetle brzasku i przy mojem krótkowidztwie, nie mogę w żaden sposób rozróżnić w ciemnej masie gałęzi sylwetki głuszca. A jednak pieśń najwyraźniej stamtąd pochodzi. Metaliczne, srebrne dźwięki płyną kaskadą, jakby prowokacja ukrytego ptaka. Darmo wykręcam szyję, aż do bólu, darmo leśnik, którego twarz stała się prawie że bolesną, tak pragnie dla mnie niewykonalnego, wskazuje mi kierunek, w którym głuszec się znajduje — w żaden sposób nie mogę go dopatrzeć. Zrozpaczona, zamierzam już strzelić na chybił trafił, lecz dłoń strzelca nie wypuszcza mi ramienia i słyszę jego szept błagalny: „Jeszcze poczekajcie, pani, aż się trochę rozwidni"... Rzeczywiście, rozjaśnia się powoli, kury, zwabione pieśnią, poczynają już w gąszczu szeleścić. Nagle widzę go, widzę oto ciemna masa, która się porusza wśród nieruchomych gałęzi. Ale jednocześnie pieśń zaczyna słabnąć... jeszcze



P. Kieniewiczowa z ubitym przez siebie pierwszym głuszcem.

chwila, a ustanie. I czuję, jak leśnik puszcza mi ramię i słyszę zdławiony, zrozpaczony głos: „Strzelajcie pani — a to ucieknie". Bez zastanowienia, bez namysłu, cała drżąca od wzruszenia, przykładam strzelbę do ramienia i pociągam za cyngiel. Huk strzału, trzask kilku łamanych gałęzi i deszcz iglic, które sypnęły się na twarz i ubranie — głuszec ciężko łomocąc skrzydłami, uleciał.

I znów niepowodzenie: tak piękny strzał chybiony! W tajemniczem gąszczu uczuć, raniona miłość własna, szarpie się boleśnie. Stanowczo szczęście mi nie sprzyja i nie pozostaje nic innego, jak z niczem wracać do domu. W milczeniu bierzemy drogę powrotną. Pochłonięta smutnemi myślami, nie

widzę wokoło siebie nic, nie odczuwam nawet uroku tej godziny przebudzenia się puszczy.

Lecz uszliśmy zaledwie kilkanaście kroków i nagle stajemy, jak wryci. Oto prawie pod naszemi nogami jakaś drgająca masa ciemnych piór. Raniony śmiertelnie głuszec kona w powolnej agonji. Tak, niechybnie to mój kogut, raniony, uleciał trochę i upadł. Jak przedtem rozpacz, tak teraz radość tryumfu zalała mi serce. Cały świat rozjaśnił mi się w oczach. W jednej chwili ujrzałam całe piękno otaczającej przyrody — świt, różowiący się od wschodu, niebo przeczyste, zmiecione wichrem, na którem gasły ostatnie blade gwiazdy.

A to żywe, głębokie wrażenie pierwszego polowania na głuszca, przy następnych wyprawach w niczem nie miało się stępić. Przeciwnie, w miarę, jak coraz lepiej opanowywałam samą technikę polowania, coraz głębiej odczuwałam piękno jego i urok. Każde polowanie jest nowym, zupełnie odmiennym epizodem, w niczem do innych niepodobnym, przynoszącym coraz to nowe, a bogate wrażenia. I w tem właśnie leży wytłumaczenie tej niezrozumiałej dla wielu, a tak silnej i niepohamowanej namiętności myśliwskiej.

(Dok. nast.). *Adela Kieniewiczowa.*

ŁOWY KAUKASKIE.

Największym lewym dopływem rzeki Kury, łączącym się z nią w miejscowości Samuch, jest rzeka Ałazań. Rzeka bardzo piękna, głęboka, szerokości Narwi pod Modlinem, nie ma charakteru rzek górskich i niesie swoje wody przez najżyźniejszą dolinę całego Zakaukazia, dolinę szerokości 40 kilometrów, a długości do 300 kilometrów. Dolina na prawym brzegu Ałazani ma charakter stepowy i zamyka się Sygnachskim pasmem gór, których skłony stanowią winnicę Zakaukazia i noszą nazwę właściwej Kachetji, produkującej słynne kachetyńskie wino.

Dolina na lewym brzegu rzeki, tworzy dziewicze lasy, z roślinnością ciepłych krajów, przeplataną taką masą dzikiego wina, ciernistych ljan i zarośli, że przejść nie sposób lasu, bez dobrego kindżału w ręku. Nawet rosyjski rząd, pozbawiwszy tubylców prawa noszenia wszelkiej broni, był zmuszony pozostawić im kindżały, z czego korzysta każdy włościanin. Ten lesisty pas doliny, szerokości około 25 kilom. często poprzecinany jest górskiemi strumieniami, łączącemi góry z Ałazanią i czasami tworzącemi przy połączeniu się z nią, duże bagna, porośnięte trzcinami, przytułek jeleni, dzików i kaczek. Ta część doliny zamyka się już pasmem głównych Kaukaskich gór, które wznoszą się dość spadzisto i są porżnięte olbrzymiemi wąwozami, często długimi do 25 kilometrów, obficie rozgałęzionemi i pokrytemi czarnym lasem, (orzech, dąb, kasztan, grab, buk, żelazne drzewo i t. d.).

Dolinę od gór oddziela śliczna szosa, obsadzona orzechami, biegnąc nad samemi górami przez miasteczka: Tionety, Teław, Kwareli, Łagodechy, Zakatoły i Nucha. Właśnie ten lewy brzeg Ałazani, te

JASTRZĄB

NOWELA.

Kazio jest zapalonym myśliwym. Odkąd dostał od ojca fuzję, marzy tylko o łowieckich przygodach, które postawiłyby go w rzędzie najlepszych, najsprytniejszych i najodważniejszych myśliwych.

Tutaj jednak, w Sandomierskiem, niema odpowiedniego terenu. Co tam kuropatwy i zające lub nawet bażanty, których cudne upierzenie złoci mierzeniecki park! Co tam kaczki-kłapaki, których zwykle bywa bardzo dużo wiosenną porą na jeziorze! Wszystko to jest wielkie nic w porównaniu z polowaniem na owego rudego dzika, którego ustrzelił Miś Rajecki.

Ach, znaleźć się kiedy na takiem święcie łowieckiem! Ale Kazio wie, że marzenie na długo pozostanie jeszcze marzeniem. Czyta więc „Sobola i pannę", a czytając tę przedziwną książkę, doświadcza dreszczów rozkosznych, czuje przelewającą się wartko gorącą krew w żyłach, przeżywa niemal wszystko to, co przeżywał owych błogosławionych dni młodości Miś Rajecki. Jest to obecnie najlepszy jego przyjaciel, bo sam nie wie dlaczego, ale do Misia czuje większą sympatję, aniżeli do poważnego Stasia Pucewicza.

Z książką, opisującą ich przygody łowieckie, nie rozstaje się nigdy, ba!, umiejąc trochę rysować, zilustrował jeden egzemplarz. Na marginesach nie

dziewicze lasy Ałazańskiej doliny i lesiste wąwozy i wzgórza, stanowią niewyczerpane źródło uciech dla rzeczywistego myśliwego. I nietylko obfitość grubego zwierza przyciąga myśliwego, dla chętnych znajdzie się w ciernistych splotach dużo bażantów po zatokach i trzcinach Ałazani zimują tysiące cietrzewi (cietrzew Młokosiewicz), lub przedarłszy się do skalistej części gór, polować na górskie indyki. Łatwo je znaleźć, bo ich dużo, trzymają się stadami i ciągle donośnie krzyczą, lecz podejść na strzał, to zadanie trudne.

Prawą stepową część Ałazańskiej doliny zalud-



W puszczy Rudnickiej na wilkach. Na lewo stoi p. Łastowski Wiceprezes Tow. Wileńskiego—w środku siedzi b. min. Gościcki (z ubitym wilkiem), na prawo stoi red. J. Ejsmond (z ubitymi dwoma wilkami).

gęsi i kaczek, uprawiane poletka i łąki obfitują w dubelty, bekasy i przepiórki, w końcu lutego już ciągną słonki, a skaliste urwiska gór dają możebność polowania na królewską dzicz, na kamienną kuropatwę, czyli kurę. A tam w górach ponad lasem, w zaroślach rododendronu, można zabić kilka górskich niają tysiące stad strepetów, a olbrzymie dropie dają możność przyjemnej rozrywki, strzelania z karabinu na daleką odległość.

Ten słaby opis myśliwskiego raju nie jest bynajmniej fantastyczny, raczej naodwrót: opis nie dorównywa rzeczywistości. Bojąc się zarzutu „opowiadań

---

brakuje nikogo. Nie mówiąc o obydwóch przyjaciołach, jest i Łaukinis, i Liebe-tetryk, i Warszulka, która dziwnie przypomina Marysię - pokojówkę. Jest, naturalnie, rudy dzik, jest proboszcz, jest wikary, są pardwy, zbliżone do naszych kuropatw. Ach, pardwy! Dlaczego u nas niema pardw?... Albo takiej rozmaitości przelotnego ptactwa?... Prawda, tu Polska, tam Litwa, owa zaczarowana, bajeczna Litwa, kraj lasów, kraj moczarów.

I znów marzenia. Być chociaż raz na Litwie, zapolować na głuszce, wczesną wiosną na ciągnące słonki...

Kazio wydyma usta. A tutaj co?... Nędza. Kuropatwy, zające, oswojone bażanty i wrony.

Z wielką pasją strzelał do wron, że to ptak zły, chytry i szkodliwy.

W parku wybił już wszystkie, ach — nie! Jest jeszcze jedna stara, drapieżna wrona, która drwi sobie poprostu i z Kazia i z jego nowiuteńkiej, błyszczącej, precyzyjnej jak caceczko, bezkurkówki. Ukrywa się niewiadomo gdzie, czasem niewidzialna zakracze tryumfująco, często opuści się na dół i porwie, ku wielkiej alteracji gospodyni, Pelasi, kurczątko.

Tej wronie Kazio zaprzysiągł zemstę. Nie dziś, to jutro, pojutrze dosięgnie ją, zwali, niby piorunem, na ziemię.

W polowaniu na czarnego ptaka wszyscy pomagają Kaziowi. Przychodzi ogrodnik, stary, zgarbiony Kaczkosio, i mówi:

— Proszę paniczka, ady-ć jest. Siedzi na topoli i tak się drze, że.... Ooo, słyszy paniczek?

Kazio porywa fuzję i pędzi przez park. Potem skrada się ostrożnie, potem ptak frunie, zakracze i, niby zaczarowany, zginie.

myśliwskich", pozwalam sobie pisać tylko dlatego, że mam w Warszawie naocznych świadków moich polowań w tej zaczarowanej dolinie i że tu mieszka dużo moich przyjaciół Gruzinów, którzy nietylko potwierdzą podane przezemnie fakty o Ałazańskiej dolinie, lecz, może być, zrobią mi zarzut zbytniej skromności i ostrożności.

Miałem dziennik trzydziestoletnich polowań, lecz rewolucja bolszewicka wszystko zniszczyła. Szkoda nie do powetowania. Zwierzostan Zakaukazia, a zwłaszcza Ałazańskiej doliny nie uległ zniszczeniu i jeszcze długie lata będzie obfitym, bo dużo górskich wąwozów jest niedostępnych dla człowieka i stanowi jakby naturalne ochronne zwierzyńce, a duże dziesiątki, a może i setki tysięcy kwadratowych kilometrów górskich obszarów leśnych, nie mogą być wyrąbane z powodu niemożebności wywozu lasu. Przejdą lata, Rosja przekształci się i napewno znajdą się między naszymi myśliwymi amatorzy, którzy znajdą możebność polowania na tych legendarnych dla myśliwego terenach.

Przez dłuższy okres czasu mieszkałem w Ałazańskiej dolinie, pod samemi głównemi górami, w miasteczku Lagodechy.

Druga połowa listopada, noce jeszcze dość ciepłe, księżyc dochodzi do pełni; chcę z tego skorzystać i popolować nocą, na grubszego zwierza, czatując na niego w miejscu wieczornego wodopoju. O czwartej wychodzę (ciemnieje między 7 a 8), mając przy sobie dryling, kindżał, torbę z zakąską i kubkiem do wody i porządny powróz 10 metrów długości. Pięć kilometrów drogi po szosie wzdłuż gór i skręcam w Mazymczajski wąwóz. Duży strumień huczy w kamienistem łożu. Posuwam się zarośniętym brzegiem rzeki, często torując drogę kindżałem. Około czterech kilometrów w głębi wąwozu zaczynają się pierwsze duże rozgałęzienia. Zwracam w boczny wąwóz; maleńki strumyk cicho bełkocze i kieruje moją drogą; idę samym brzegiem i pilnie wpatruję się w mokry piasek na brzegu, szukając zwierzęcych śladów. Przeszedłem z kilometr; strumyk ledwo sączy się, formując gdzieniegdzie małe jeziorka; dużo śladów sarn, macior z warchlakami, lecz to mnie nie nęci. Nakoniec jest ślad dużego odyńca, a dalej o metrów 20, przy drugim jeziorku ślad średniej wielkości niedźwiedzia. Ciemnieje, wierzchołki gór jeszcze oświetlone, ale w głębi wąwozu już zupełnie szaro. Badam teren i znajduję ledwo dostrzegalną dla oka ścieżynę wprost z gór do wody; ścieżyna przewija się przez wzgórze i po 40 — 50 krokach ginie z oczu. Wiatr pomyślny z góry na dół. Między dwoma jeziorkami, o kilka metrów od strumyka znajduję starą dziuplistą lipę, obróconą otworem w stronę ścieżki; próbuję: włażę dość swobodnie, nabieram płaskich kamieni, któremi strumień wprost zawalony, urządzam siedzenie w dziupli, przysypuję dużą ilością liści i zasiadam. Obserwuję obstrzał: księżyc, oświecając tył, pozostawia mnie w cieniu, a przestrzeń przedemną oświetla. Prędko ciemnieje. Księżyc zaczyna oświetlać fantastyczne cienie leśnych olbrzymów, cicho, ach jak cicho, nawet bełkotania strumyka nie słychać. Z boku tuk-tuk, tuk-tuk, zatem bieg kozła. Która godzina? nie widzę, muszę zapalić zapalniczkę, a razem chce się i zapalić; wiatr z góry, więc może i można, wszystko jedno — palę. Blask z zapalniczki — i jednocześnie z boku łomot, trzask i szybka ucieczka; źle! dzięki papierosowi, straciłem dzika, który szedł tak cicho, że nic nie

---

Gospodyni zwykle opowiada już fakt dokonany. Brzmi to mniej więcej tak:

— I znów dzisiaj, proszę paniczka, czarna porwała kurczę, jedno z tych większych. Ażeby ją!...

Pelasia zamierza się łokciem na niewidzialnego wroga.

Innym znów razem przybiega chłopiec kredensowy, czy stajenny. Ten widział wronę tam, ów tutaj, zaraz za parkanem. Błyszczą im ciekawością oczy, gdy Kazio dumnie chwyta za broń. Oni też mają w sobie żyłkę myśliwską. Zwłaszcza Antek. Dla niego niema najwyższego drzewa. Wszędzie się dostanie; po kruchych gałęziach chodzi jak kot, dociera do najniebezpieczniejszych miejsc — urwis chłopak. Odbiera też od Kazia ostre nagany, po których zwykle jeszcze skuteczniej uprawia swój sport zniszczenia.

Ale na wronę się zawziął. Zawzięli się na nią wszyscy: Kazio, Kaczkosio, Pelasia, Antek i Wicek. Wrona jednak drwiła sobie najwyraźniej z całej tak licznej koalicji. Widocznie dobrze się jej działo, bo krakała coraz głośniej — szyderczo, chrapliwie, jak to wrony tylko umieją.

Gdy Kazio na Zielone Świątki przyjechał do domu, ona pierwsza przywitała go na wstępie.

— Więc jeszcze jest?

— Nie było ciebie, nie miał kto jej zabić — uszczypliwie rzekł ojciec, znakomity strzelec.

— Teraz ja już się z nią rozprawię — stanowczo zadecydował Kazio—mam przed sobą dwa dni.

Ale pierwszego dnia rozkoszował się słońcem, wiosną, bzem i słowikami.

Cudnie było na wsi. Od łąk, od rozkwitłych bzów i rozkwitających kasztanów, od świeżej zieleni płynął brzemienny mocą zapach, który zawró-

słyszałem. Skończyłem papierosa. Cicho, cicho, aż nieprzyjemnie. Jakiś duży ptak bezszumnie przerżnął promienie księżyca. Obrzydliwy krzyk puhacza wstrząsnął mną i zaraz żałośnie zapłakał szakal, a dziesiątki jego współbraci odpowiedziało mu z różnych stron. Kilka zapłakało koło mnie, a jeden stał o cztery metry i płakał, wyciągnąwszy mordę do księżyca. Syknąłem, skoczył w bok. Często szakal podchodzi do stojącego nieruchomo myśliwego na odległość 1 — 2 kroków i zwróciwszy głowę w stronę naganki, wysłuchuje psów. Najmniejszy ruch myśliwego robi wprost piorunujące wrażenie na tym tchórzu. Rzadki to typ zwierzęcia, nie mającego żadnego węchu. Znów cicho. Zdaleka usłyszałem trzask łamanych gałęzi, wyprężyłem się, ręce konwulsyjnie ścisnęły flintę, oczy aż bolą od natężenia, znów szum, lecz na lewo; zdaleka dostrzegam cień; liczę — sześć sztuk dzików posuwa się do wody: maciora i pięć warchlaków, lecz o 40 kroków na lewo odemnie; podeszły do wody, piją; strzał niepewny i niewygodny, decyduję się strzelać. Warchlaki bawią się, kwiczą, szturchają; maciora powoli odchodzi dalej, dzieci za nią i jeszcze długo dolatuje szum ich sprzeczek i zabaw. Znów cicho; siedzę wtulony w lipę; oczy aż łzy zalewają od natężonego wpatrywania się w cienie drzew. Przedemną wysoko na ścieżce posłyszałem osypujące się kamyki. Serce mocniej zabiło, słuch i oczy natężone szalenie; poczułem cały, że nadchodzi coś poważnego.

(D.c.n.). *Generał A. Kuczewski.*

SEN U ZWIERZĄT.

(Dokończenie).

Bydło chętnie pozostaje na nocnych pastwiskach, a cały dzień leniwemu oddaje się wpoczynkowi. Koń zaś ma upodobanie w dziennem wałęsaniu się po pastwiskach i w nocnym odpoczynku.

Owca i koza podobne mają zwyczaje, pasą się dzień cały, a śpią do rana spokojnie.

Stworzenia dwukopytne: sarna, łoś i jeleń, układają się do snu podobnie, jak krowa.

Jednokopytne zachowały te, co nasz koń, zwyczaje.

Zdawałoby się, iż zwierzęta, uposażone olbrzymiemi rogami, winny w czasie odpoczynku opierać swe ciężkie głowy na ziemi, by ulżyć trochę swym kręgom. W rzeczywistości nie jest tak, jak nam się wydaje. Ścięgna tyłu głowy są tak silne i szczelnie powiązane z czerepem i kręgosłupem, że ich nie nadwyrężają, dają silną oporę głowie i nie męczą cienkiej szyi. Niektóre jednak odmiany kozłów podczas snu opierają swe uzbrojone głowy o skały lub ziemię, co też mają czynić dzikie barany górskie. Czy to pochodzi z powodu zmęczenia lub innych jakich przyczyn, jest zagadką dotąd nierozwiązaną dla nas. Słonie, nosorożce, hipopotamy i inne gruboskórne

---

cił Kaziowi w głowie. Zapomniał o czarnym ptaku, nurzał się w słońcu, pojechał konno na spacer. Chciało się mu i śmiać i płakać, krzyczeć z nieokreślonej jakiejś radości, nieledwie brykać, niby tym pięknym, rasowym źrebakom, zamkniętym w dużym okólniku.

A drugiego dnia był w kościele, żałując, że nie widział tam panny Zosi, w której tajemnie się kochał od roku. Ale panna Zosia miała przyjechać dopiero na wakacje, w lipcu.

I przed Kaziowemi oczami zamajaczyła na tle liljowych bzów wysmukła postać złotowłosej panienki, która ślęczy teraz nad nudnemi książkami w jazłowieckim klasztorze.

Niewiadomo dlaczego, ale ten klasztor zawsze wzbudzał w Kaziu dreszcze odrazy. Przedstawiał się mu jako ponure, obronne zamczysko średniowieczne, otoczone fosą i parkiem, zbliżonym raczej do lasu. Nie mógł dać wiary opowiadaniom panny Zosi, że jednak bywa tam często bardzo wesoło, że siostry są niezwykle miłe, dobre i troskliwe. Wszystkie uroki zepsuła mu Zosia tym jednym szczegółem, że podczas egzaminu z religji musiała wyrecytować w chronologicznym porządku wszystkich papieży od pierwszego do ostatniego.

Jakąż to potrzeba mieć świetną pamięć! On, Kazio, nigdyby tego nie potrafił, on kulał zawsze w chronologji.

I oto te wspomnienia nasunęły mu na myśl kończący się rok szkolny i związane zwykle z tym okresem przykrości.

Aby je zgłuszyć, porwał fuzję, zwłaszcza, że Antek doniósł mu w tej chwili o grasującej w zupełnej beztrosce wronie na wysokiej topoli.

Skradał się cicho, bezszelestnie aż do końca

zwierzęta, z powodu krótkości i grubości swych kończyn, leżąc, wyciągają swe monstrualne nogi, nie mogąc ich podginać pod siebie, co też i u naszych świń domowych i dzików zauważyć się daje. Dziki dobrze pod wykrotem drzewa, siedząc, oparty o gnijący pień, lub na twardej skale, na miękkim mchu, rozciągnięty wygodnie na całą swą długość, lub z podkurczonemi łapami i zwieszonym na piersi



Śpiące kangury.

jednak w czasie odpoczynku, kładą się najczęściej szczelnie obok siebie.

Zabawne są pozy spania naszego młodego misia. Jego masywność ciała, gruba warstwa tłuszczu i długie, ciepłe, a miękkie futro, dają możność temu leśnemu mocarzowi spać wygodnie w każdej pozie i na każdem miejscu. Śpi więc smacznie tak kosmatym łbem. W swym domu zaś, u siebie w barłogu, leży przez długi czas w śnie letargicznym, zwinięty w kłębek, z mordą objętą łapami.

Kto z nas nie widział psa, gotującego się do snu. Czy to na kupie śmietniska, czy na mokrym barłogu, lub też miękkiej kanapie, pies przed ułożeniem się, kręci się i udeptuje swe łoże. Przyzwyczajenie

---

parku, gdzie znajdowało się ulubione siedlisko złośliwego ptaka.

Wrony jednak nie było.

Kazio zawrzał z wewnętrznego gniewu. Nie, to już stanowczo jakieś fatum prześladuje go uporczywie. A taką miał chęć strzelić dzisiaj i nie spudłować. Chwilę zatrzymał się niezdecydowany, aż jakaś myśl przemknęła mu po czole.

Pójdzie na łąki. Wprawdzie niema teraz do czego strzelać, ale może znajdzie się jakiś kaczor nieostrożny...

Urwał, bo sam nie wierzył w to, o czem myślał. Wiedział, że o tej porze kaczory są niezwykle czujne i jeżeli zrywają się — to bardzo daleko.

Poszedł jednak, bo wabił go ostry zapach mokrych łąk i gaik za niemi, skąd dochodziły trele słowików.

Powietrze od rana nabrzmiałe było dusznością, która pozwoliła wróżyć jeżeli już nie burzę, to deszcz. Teraz niebo z jednej strony poczęło pokrywać się chmurami, a gdzieś, jeszcze daleko, niby odgłos armatni, przewalał się po chmurach długi, przeciągły grzmot.

Łąki były mokre i należało skupić uwagę, aby raz wraz nie wpadać w głębokie między trawami szczeliny rdzawego błota. Tutaj panowała przeddeszczowa cisza i tylko w górze działy się jakieś dziwne rzeczy. Szły wabienia bekasów, smutne, jękliwe, płaczące zawodzenia czajek i inne jeszcze odgłosy błotnego ptactwa. A z boku, z gęstwy gaju, dobiegał zapamiętały śpiew słowików, który dziwnie harmonijnie wlewał się i łączył z naprężonem powietrzem.

Kazio stanął przy koszu, gdzie w zimie były stanowiska dla myśliwych podczas polowań z na-

to jest bezspornym zabytkiem jego dawnej dzikości, gdy szukając wygody, udeptywaniem twardego łożyska, zmiękczał sobie ostre wysłanie traw. Pies i kot, niewybredne w wygodach, śpią tak dobrze na dywanie, jak i na śmietniku, lub barłogu, w cieple lub na mrozie, najczęściej w kłębek zwinięte, z nosem wsuniętym pod ogon. Czasem, w lecie szczególnie, widzimy psa rozciągniętego na słonecznym trawniku, kota na oknie lub dachu domostwa.

Zając, królik, mysz, szczur, wiewiórka, śpią siedząc zawsze w gotowości do skoku i „zwiania" przed wrogiem. Wiewiórka siedząc na gałęzi, nakrywa się cała swym ciepłym ogonem. Nie mało zwierząt i zwierzątek na senny wypoczynek zawiesza się na gałęzi, skale, lub w jaskini i poddaszu na nóżkach, łebkiem na dół. Ustrój ich łapek, uzbrojonych w ostre i mocno zgięte pazurki, zabezpiecza je od upadku. Są to nocne włóczęgi. Nietoperz, wiszący na jednej łapce, drugą przytrzymuje swój „gumowy" płaszcz, okręcony około mizernej swej figury i chroniący go od zimna i deszczu.

Nocny rabuś, włóczący się za zdobyczą, natrafia na śpiącego, lub przytajonego przed nim jeża, lub pancernego potworka. Koląca kula mami go wonią świeżego mięsa „chytre oczki rabusia widzą smaczny kąsek, lecz zębami go wziąść trudno".

Nasz lis tylko w czasie silnych mrozów lub śnieżnych zamieci, kryje się do swej piaszczystej, ciepłej nory; przy zwykłej pogodzie, tak zimą, jak i latem, można go spotkać w głębokich brózdach orki, w kępie wysokich, zeschłych traw, lub burzanów, zawsze jednak na wywyższonem więcej miejscu, skąd rozleglejszy na daną miejscowość roztacza się widok. Śpi w kłębek zwinięty, z podwiniętą kitą, sen ma czujny, czasem daje się zjechać konno, lub sankami na bliższą metę. Dość małego ruchu głową, nieznacznego poruszenia ręką, by z błyskawiczną szybkością i zwinnymi ruchami „zwiał" przed myśliwym.

Wiele się mówi i słyszy o czujności i ostrożności wilka. Kilka mych spotkań z nim w pojedynkę, „oko w oko", upewniło mnie o niesłuszności takiej opinji o tym tchórzliwym rabusiu, nie jest on ani tak śmiałym, ani tak czujnym, jak o nim piszą i jak go malują. Naturalnie mówię tu o pojedyńczym egzemplarzu, bo zbiorowa ich śmiałość, odwaga i siła, jest zaiste straszna tak dla człowieka, jak dla każdego zwierzęcia, nawet niedźwiedź przed nią ostać nie zdolny, ba, nawet król zwierząt, lew, przed zgłodniałą ich bandą salwuje się ucieczką. Wilk zmęczony całonocną włóczęgą i uganianiem się za zdobyczą, a wreszcie nasycony jej osiągnięciem, powraca do knieji i w najbliższym krzewie zasypia snem tak twardym, że nawet często większy szelest, lub zbliżenie się człowieka, nie rozbudzi go. Twierdzenie to opieram na dwukrotnem swem doświadczeniu. Polując raz jesienią na słonki, stanąłem na małej polance leśnej, mając przed sobą tuż kępę zarośli mietlicy, aczkolwiek dość dużą, lecz zupełnie niską, z krzewem rozłożystym o 10 kroków przede mną. W 10 minut zaczęły mnie dolatywać z głębi wysokiego lasku krzyki malców: „waluszník", głośnem echem w ciszy ustronia powtarzane, a gdy hałas i stukanie naganki o drzewa coraz głośniej się rozlegały, z pod owego krzewu podniósł się „stepowy siwosz rudawy" — palnąłem mu dąstem w piersi, do mnie zwrócone, poczem zwiał mi w burzanach bez śladu. W czasie zimy widywano kulawą bestję w okolicy, włóczącą się — był to prawdopodobnie mój postrzałek. Niewyjaśnionem było dla

---

ganką. Złożył strzelbę na ziemi, oparł ręce o biodra, podniósł w górę głowę i śledził wiecznie bujny rozkwit życia.

Zapomniał, że ma przed sobą żywe cele, z którychby kiedyindziej skorzystał. Porwała go natura, kazała mu przestać myśleć o czem innem, podziwiać siebie, uwielbiać.

A tymczasem chmury skupiały się coraz groźniej i głuche poryki grzmotów odzywały się coraz bliżej. Na granatowym widnokręgu przemknęło długie, poprzeczne, jasne pasmo — błyskawica.

Burza szła powoli, majestatycznie, jedna z tych burz wiosennych, które wita się z radością, jako oznakę rozrodczej siły wszechświata.

Wtem, tuż nad głową Kazia, zakołysał się charakterystycznym ruchem ptak nieduży — jastrząb, symbol drapieżności i zachłanności. Kazio porwał za fuzję. Obudziła się w nim gwałtowna żądza czynu, pragnienie zdobyczy.

Niby bliskie echo grzmotu, przeciął powietrze huk wystrzału. Ptak spadł na ziemię. Konał. Kiedy Kazio zbliżył się do niego, poruszył zakrzywionym dziobem, jakby szukając odżywczej kropli wody, powietrza. Oczy, nabrzmiałe krwią, podniósł na zabójcę, poruszył szponami i stężał.

Leżał teraz spokojnie na mokrej trawie, jakby wsłuchując się jeszcze w przerażone jęki czajek i w krzyk bekasów. Tylko słowiki śpiewały ciągle, jak przedtem.

Drapieżnik leżał nieruchomo, lecz jakże inny! Teraz, po śmierci, przestał już być niebezpiecznym i miał wygląd poczciwej jakiejś ptaszyny. Na płowych, w ciemne centki piersiach, szkliła się krwawa ranka, ciemno-ruda główka przywarła do ziemi.

Kazio stanął nad nim w zamyśleniu. Niele dwie

mnie, by taki zwierz, nietylko nie słyszał mych kroków, trzasku suchych pod nimi badylów i gałązek, lecz nawet nie zwęszył mej bliskości przez 10—20 minut. Innym zaś razem, w marcu 1902 r. objeżdżając wypędzone poraz pierwszy na wiosenną pa-



Śpiące niedźwiedzie.

szę owce, zostałem zawiadomiony o szczennej wilczycy, widzianej wczesnym rankiem. Powróciłem do domu po sztucer i około 4-ej popołudniu stałem na stanowisku, na przełęczy, łączącej niskopienny lasek z wysoką dębiną. Czabani z kilkunastu psami „owczarkami" zaszli z dolnej części lasu. Już wyraźnie odbijały echem ich trzaskania harapów i „hu, ha" po całej dolinie, kilka psów z „badrim Murrym" pokazało się na skraju zarośli, a wilczycy nie było widać. O kilkadziesiąt kroków, z prawej strony mego stanowiska, miałem duży krzew „skumpji", mocno podszyty niskopiennemi zaroślami, skinąłem zatem na „Murrego", by zaszedł tam, co też zaledwie wykonał, ogromna wilczyca wyskoczyła, otoczona psami. Miałem ją nie dalej, jak na 35 kroków, na sztych, prosto biegnącą z pagórka. Po pierwszym strzale zwaliła się na łeb, zerwała się jednak, więc ją dobiłem drugim strzałem na łopatkę. Nie była to jednak szczenna suka, lecz tak obżarta, że ją można było za taką uważać. W jej żołądku znalazłem około 40 funtów koniny ze skórą i drobnemi kośćmi. Ani przed, ani potem, tak wielkiej nie widziałem, jak ta w 1902 r., zabita w Czernowie.

Dzik śpi dość czujnie, lecz nie zawsze wybiera do spoczynku tylko niedostępne miejsca. Latem natrafiałem na śpiące stado w wysokich zbożach pod lasem — zimą zakopane w głębokim śniegu, w gęstej choinie, albo też świerczynie. Że nie zawsze śpi czujnie, miałem tego dowody. Wchodziłem nieraz w sam środek stada, które dopiero mój strzał rozbudzał. Ulubionem dla starego pojedynka łożyskiem są mrowiska ciepłe i miękkie. Najechałem raz takiego czarnego jegomościa, tak blisko, iż zawdzięczając tylko szalonemu skokowi mego „dońca", uniknąłem szarży tego zwierza. Było to w lasach Czarnostowickich w pułtuskiem w 1884 r., a w 20 lat podobny miałem przypadek w Dżylskiej puszczy w Chanacie Lenkorańskim, raczej Tałyszskim, na pograniczu Persji. Przechodząc ze stanowiska na stanowisko, przedzierałem się za śladem tatara

---

żałował swego postępku, choć przecie wiedział, że zabił szkodnika. Szkodnika?... Cóż on mu zawinił?..

Zaczął zwracać ku zastygającym zwłokom ptaka dziesiątki argumentów, usprawiedliwiających smutny jego koniec. Lecz żaden z nich nie trafił mu do przekonania. Więc zaczął filozofować.

Prawo życia, prawo śmierci; zwycięstwo jednych, przegrana innych; wieczna, nieustająca walka w życiu, walka w naturze.

I to, nad czem się nigdy dotychczas nie zastanawiał, stanęło mu zagadkowym znakiem zapytania przed onieśmielonemi oczami. Porwał go jakiś niewytłomaczony żal, tęsknota wlała mu do serca pierwsze krople goryczy, że stał nad ptakiem nie jako zwycięzca, ale jak smutny, zawiedziony człowiek.

Nie zauważył nawet, że nad jego głową zgromadziły się ołowiane, niskie chmury, z których poczęły padać ciężkie, niby łzy, krople. Nie słychać już było rozmaitych nawoływań w górze, tylko jakaś zapóźniona czajka lękliwie szukała schronienia przed burzą.

Kazio zabrał się do odwrotu. Gdy wchodził już w szklane drzwi ganku, lunął gęsty deszcz, który wnet rozlał się wartkim potokiem u podjazdu. Od grzmotu zadzwoniły szyby, błyskawica rozdarła chmury na dwie części.

Usłyszał od lokajczyka nowinę:

— Proszę paniczka, jaśnie pan zaraz po odejściu paniczka, zabił wronę. Acha!...

Kazio zaciął usta.

Wincenty Zdzitowiecki.

Kamila przez kolącą gęstwinę „derżyderewa" i ogromne paprocie, gdy o kilka kroków z boku, jakby z pod ziemi wyrósł, stanął tęgi odyniec, a ujrzawszy nas, podniósł ryj wysoko, odsapnął i chrząknął złośliwie, szarżując ku nam. Kula wstrzymała go na miejscu i złości nie dała mu wywrzeć na naszych skórach. Gdy strzał huknął, kilkanaście świń zerwało się z szumem wokół nas. Byłem więc w środku śpiącego stada, którego ani trzask łamanych paproci przez nas, ani też nasza rozmowa nie zbudziły.

Na zakończenie muszę wspomnieć o wydrze, niestety, zanikającej poniekąd w naszym kraju. Zwierzątko to cenne, a dość szkodliwe dla naszego rybołówstwa, należy do najczujniejszych stworzeń. Prócz dziupli drzew nadbrzeżnych, ulubionem miejscem jej dziennego wypoczynku są wysepki suche wśród wodnych przestrzeni, pływające kępy zbitej trzciny, pnie nad wodą gónujące. Tam, zwinięta w krążek, osusza zmoczone w czasie nocnego rabunku i buszowania po wodach, swe piękne futerko srebrzyste i oddaje się beztroskiemu snowi. Lecz dość jest trzaśnięcia zeschłej łodygi, złamania trzcinki, lub lekkiego uderzenia wiosłem o bok czółna, a nawet pluśnięcia wodą, by zwierzątko zniknęło nam w nurtach wodnych i więcej się nie pokazało na powierzchni. A jednakże i te zwierzęta przesypiają czasami swą zwykłą czujność. W okresie mych sztubackich czasów spędzałem ferje w Białobrzegach nad Wartą i od świtu do zmroku włóczyłem się z dwururką po rozległych łęgach i pustkowiach nadbrzeżnych. Skradając się pewnego razu do zapadłych na wodach kaczek, przechodząc około pnia złamanej wierzby, zwróciłem uwagę na leżący jakiś kosmaty przedmiot szary w wydrążonej dziupli drzewa. Podszedłszy bliżej, upewniłem się, że to śpiąca wydra i strzeliłem do niej. Czy też zgorączkowałem, lub nabój był słaby w mej pistonówce, moja wydra jednym susem była w rzece, a ja z głupią miną długo stałem nad brzegiem wody w oczekiwaniu jej ukazania się...

Leśną kunę spotykamy w dzień zimowy w ciepłej dziupli drzew starych, skąd wypędzić ją nie łatwo, tak czuje się ona tam bezpieczną, latem zaś woli odkryte, cudze gniazda i wolne powietrze. Tam też łatwiej ją wystraszyć. Daleki jej krewniak, soból syberyjski, przeważnie zasypia w rozgałęzieniu olbrzymich drzew cedrowych, szczelnie swem długiem ciałem przystając do gałęzi i obejmując je swemi krótkiemi łapkami, między które kładzie swój mały łebek, bystremi oczkami strzygąc na wsze strony za zdobyczą. Zdradza go często puszysty ogonek, który zwiesza w dół podczas spoczynku co często staje się przyczyną niespodziewanej jego śmierci, wydając przez to schronienie, skądinąd niedostrzegalne.

Władysław Czerniejewski.

Częstochowa, 15 stycznia 1926 r.

WOLNA TRYBUNA.

Inicjatywę w walce z kłusownictwem ująć winni w ręce myśliwi.

W numerze 4 (76) „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego" znajdujemy aż dwa projekty zwiększenia zwierzostanu w Polsce. Pan S. Kamocki proponuje założenie hodowlanej spółki myśliwskiej*), a p. G. Różycki radzi oddziaływać na nieuświadomione społeczeństwo myśliwskie przy pomocy popularnych broszurek w tej materji.

I jedno i drugie jest dobre, najlepiej jednak byłoby obydwa te projekty połączyć w jeden.

W tym celu wszystkie Kółka łowieckie, tak lokalne, jak powiatowe i okręgowe, trzeba zcentralizować, wyłonić Zarząd główny z siedzibą w Stolicy, oraz przy pomocy pana referenta łowiectwa, J. Ejsmonda, wprowadzić obowiązujące opłaty na ten cel ,pobierane przy wydawaniu karty łowieckiej, a składane później do Banku Polskiego na rachunek bieżący Myśliwskiej Spółki Hodowlanej.

Osiągnie się tym sposobem cel podwójny: znajdzie się odrazu fundusz na hodowlę i propagandę, bez uciekania się do zawodnej ofiarności jednostek pojedyńczych i, mam nadzieję, zmniejszy się ilość wydawanych pozwoleń na broń myśliwską, o ile bowiem przy opłacie obecnej zł. 10.50, nikt na ten wydatek nie zważa, o tyle różni myśliwi „dla mięsa", pomyślą dobrze, czy im się opłaci wykupienie karty łowieckiej przy opłacie znacznie wyższej.

Chodzi tu o jeden warunek. Opłaty trzeba podnieść tak, by projektu nie spaczyć, by hodowla i propaganda były rzeczywiście umożliwionemi, by środek ten wpłynął poważnie na zastraszającą wprost liczbę wydawanych pozwoleń na broń myśliwską

*) Projekt p. Kamockiego został już zrealizowany. Spółka hodowlana powstała. — (Przyp. Red.).

i by zwierzostan nasz rzeczywiście na tem skorzystał.

Ta ostatnia uwaga jest tem ważniejszą, że z chwilą, siłą rzeczy, zredukowanej ilości uprawnionych myśliwych, bez wątpienia zwiększy się zastęp kłusownictwa, to też koniecznem byłoby zaopatrzyć każde poszczególne Kółko lokalne w dostateczny fundusz na opłacenie specjalnego dozorcy stałego, dobrze płatnego, dbającego o swoją posadę i nawet premjowanego za każde wykrycie kłusownika.

Oczywista, że w początkach malkotentów będzie dużo, osiągnięcie jednak zamierzonego celu jest rzeczą poważniejszą, a przekonany jestem, że ujęcie tej sprawy przez samych myśliwych da większe rezultaty, niż dotychczasowe tępienie kłusownictwa przez policję.

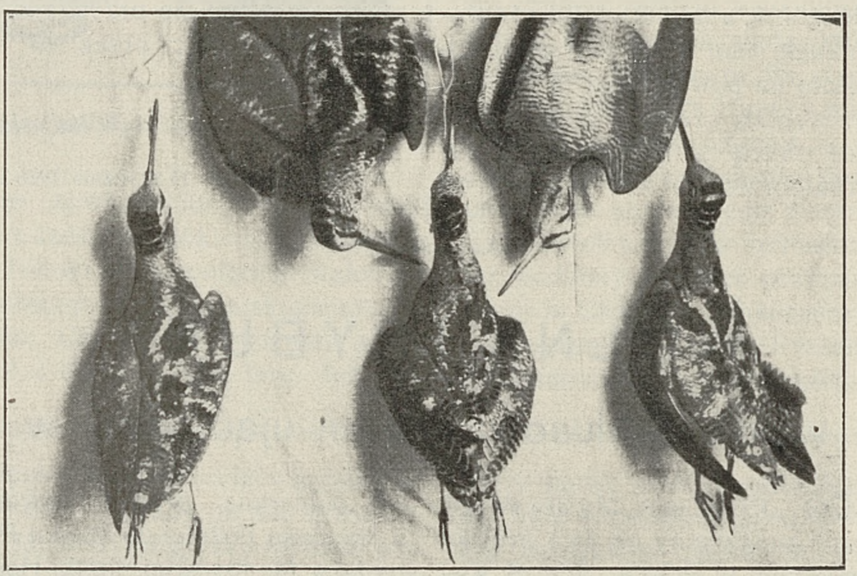
Wiktor Komorowski.

Czy racjonalnym jest czas ochrony dla drapieżników?

P. Gieysztor*) jest niezawodnie kierowany najszlachetniejszemi ideami, twierdząc, że „każde stworzenie zajmuje to miejsce, które mu harmonja świata wyznaczyła i nie może być usunięte bez poważnej szkody dla równowagi biologicznej". Lecz nieubłagane życie — nieco inaczej oświetla całą tę sprawę! Jako długoletni hodowca-praktyk wszelkiego rodzaju zwierza i ptactwa w swych majętnościach na Ukrainie — pozwalam sobie zabrać głos w tej tak ważnej dziedzinie. Oczywiście, zgodziłbym się na wypowiedziane w tym artykule myśli, o ileby mowa była tylko o terenach pierwotnych, dzikich, wykluczonych z pod opieki hodowcy. W takich łowiskach Mądrość Przyrody była, jest i będzie najlepszym regulatorem zwierzostanów, podległych walce o byt. Rzecz się ma jednak zupełnie odmiennie, gdy mamy do czynienia z intensywną kulturą pewnych objektów łowiectwa — na przestrzeniach o g r a n i c z o n y c h.

Nie wyobrażam sobie hodowli bażantów lub kuropatw bez odstrzału okolicznych lisów, kun, tchórzów, gronostajów itd. — wyłapania na żelaza największych skrzydlatych szkodników, mianowicie: gołębiarzy (Astur palumbarius), krogulców (Accipiter nisus)—z rzetelnem wystrzelaniem przy budce z puhaczem wron, srok i sójek oraz wałęsających się kotów i samopas brodzących naszych przyjaciół „poczciwych kundelków"!

Nawet i przy podobnych energicznych zabiegach nigdy i nigdzie się nie uda gruntownie wyniszczyć rabusiów z łowisk, gdyż odczuwając obecność łakomych kąsków, w postaci pielęgnowanej zwierzyny, coraz to nowe zastępy drapieżników przybywają z dalszych okolic.



Długodziobe czarodziejki wiosennego zmierzchu.

Oczywiście, że eliminowanie wszystkich tych szkodliwych dla hodowanej zwierzyny elementów, powinno się odbywać r a c j o n a l n i e i z należytem uświadomieniem niższego personelu wykonawczego. Stanowić ma to prawdziwy obowiązek — „venatora" z łaski Bożej.

U nas, niestety, bardzo często określenie „dra-

*) Z powodu art. „O czas ochrony dla drapieżników"— „Przegląd Myśl." Nr. 5, marzec, 1926 r.

pieżnik", szczególnie w dziedzinie skrzydlatej, zastosowanem bywa „ryczałtowo" i polega na tępieniu wszystkich pokrewnych lub podobnych nawet gatunków i odmian.

Tylko puhacz, oraz przelotna sowa uralska z nocnych ptaków powinny podlegać odstrzałowi. Z dziennych zaś tępi się, jako „jastrzębie" ród błotniaków, pustułek, myszołowów, podorlików i innych Bogu ducha winnych - „pseudo-szkodników"! Pod imieniem wron i kruków setkami padają wysoce w rolnictwie pożyteczne gawrony i kawki. Takiego to rodzaju bezmyślnem tępieniem „wyimiginowanych drapieżników", spowodować rzeczywiście można klęskę nadmiaru myszy polnych, która miała miejsce z tego powodu w południowych departamentach Francji w 1922 r., na co słusznie zwraca uwagę szanowny Autor w swym artykule. Wogóle, jeśli już zabieramy się do „korygowania" Matki Przyrody, powinniśmy to czynić uzbrojeni w całkowitą wiedzę, świadomi każdego swego gestu i z wielką ostrożnością. Czystemi rękami i światłą głową!... Inaczej może być „konfuzja" sroga, o której aż „słuchać hadko", jak zwykł mawiać ś. p. Jan Longinus Podbipięta. Dla uniknięcia tego rodzaju nieporozumień — stosowałem w swoich wierzchowieńskich rewirach metodę obowiązkowego załączania do każdej pary łapek (znaków) przedstawianych do miesięcznej kontroli zdobytych powietrznych niszczycieli, także i skrzydła każdego okazu. Wtedy to już żadną miarą nie mógł gawron przejść pod firmą starej wrony, lub niewinna pustułka odegrać roli okrutnego krogulca, a myszołów — gołębiarza!

Jeśli nasz teren łowiecki będzie należycie zasiedlony kulturalną zwierzyną, to nigdy nie ogołocimy go z drapieżników przychodnich, gdyż rejon ten, jak magnes czarodziejski, będzie przyciągał z bliższych i dalszych okolic coraz to nowe zastępy. U mnie, w Wierzchowni, po dwudziestu kilku latach, śmiem powiedzieć, wysoce intensywnego tępienia, jednakże na każdem dorocznem polowaniu padało 2 lub 3 lisy, widziano zaś kilka. Nie zgadzam się też z szanownym Autorem, że drapieżników jest u nas mało. Nie mówiąc już o najszkodliwszym gatunku; dwunogich kłusownikach, stanowczo twierdzę, że aż nadto za wiele!

Że każdy myśliwiec woli „delektować" się strzałem do lisa, niż „walić" do ogłupiałego biednego szaraka, dwóch zdań być nie może.

Co się jednak tyczy „użyteczności" lub nie, tego, czy innego gatunku, to zachodzi tu pewnego rodzaju nieporozumienie. Otóż, chociaż futro lisa rzeczywiście swą wartością dziesięciokrotnie niemal przewyższa skromnego zająca, lecz rzecz w tem, że poczciwych szaraków możemy wyprodukować przy ochronie i podkarmianiu na bardzo niewielkiej ilości hektarów, bardzo znaczną ilość, tak samo rogaczy, kuropatw, bażantów, jako zwierzyny kulturalnej, to jest nadającej się do sztucznej hodowli, w przeciwieństwie do zwierza dzikiego, jakim jest niedźwiedź, wilk, lis, ryś.

Porównywać nawet nie można rozkoszy polowań na tle dziewiczych mateczników z odstrzałem, klinicznie niemal hodowanej zwierzyny, o czem nieraz już i szeroko pisałem, lecz trudna rada!... Trzeba się zastosowywać do stwarzanych przez cywilizację nowych warunków, zmieniających łowiectwo w gałęź bogactwa narodowego.

Adam hr. Rzewuski.

O czas ochrony w porze godowej.

„Przegląd Myśliwski" umieścił w roku 1924 moje uwagi o ochronie głównych reprezentantów naszej myśliwskiej fauny karpackiej. Otrzymałem wtedy pisemne zawiadomienie ze strony Szanownej Redakcji „Przeglądu", iż zapatrywania tam wyrażone torują sobie drogę w ogólnej opinji hodowców-myśliwych i mają widoki poparcia.

Okoliczności te powodują, że wobec podania w czołowym artykule N-ru 24 1925 r. „Przeglądu" „Idei przewodnich", w tworzonej nowej ustawie, głos znowu podnoszę, prosząc o dalsze poparcie tez, poruszonych poprzednio.

Powtarzam sprawę krótko.

Zwierzyna drobna, masowa i jako taka z natury liczniejsza i łatwiejsza do utrzymania, ma czas ochrony już w dotychczasowych ustawach mniej więcej racjonalnie ujęty — i ten zabezpiecza jej spokój w dorocznym okresie godów i lęgu. Natomiast zwierzyna, o której zdobycie jednostek trudno, a po wojnie o wiele jeszcze pod każdym względem ciężej, nietylko niema odpowiedniej opieki ustawowej, ale zanosi się na to, co jest już wprost nielogiczne, — oto, że i nadal okres w jej życiu rozrodczem najważniejszy, okres zapładniania — będzie prawie jedynym okresem odstrzału.

Na nic argumentacja, że gdzie myśliwy schodzi się w motywach z kłusownikiem, aby wyzyskać dla siebie łatwiejsze warunki zdobyczy podczas rui — tam nie ma miejsca dla hodowcy!

Spotykam się nawet z takiem zdaniem, „że, gdy jeleń będzie chroniony w czasie rykowiska — straci dla myśliwego całą swą wartość, bo uroku rykowiska nic zastąpić nie zdoła"!

Czyż wolno tak subjektywnie zapatrywać się na

sprawę, a zarazem tak mało analizować swe własne wrażenia!?

Czy urok rykowiska leży w całości obrazu, który przyroda myśliwemu podaje, czy poprostu w strzale, idąc za głosem byka wabiącego naraz — swą bogdankę, swego rywala i — swego zabójcę!?

Czyż nie szlachetniejszą winna być misja myśliwego-hodowcy ochraniania jelenia swą obecnością w tym najważniejszym okresie jego życia, aby następnie, będąc zorjentowanym jakościowo, ilościowo i lokalnie — bykowi, który już swe wieloletnie zadanie spełnił i ma następców, pociągnięciem cyngla posłać rozważną kulę!?

W analogicznych warunkach wegetuje inna nasza zwierzyna i to z najcenniejszych: głuszec, cietrzew, sarna.

A czy nie trzeba stawić zapory bezmyślnemu tępieniu niedźwiedzi?

Powołując się więc na motywy dawniej podane, podaję uproszczone czasy odstrzału:

Jeleń (rogacz): 1 października do końca roku;

Sarna (rogacz): 15 sierpnia do końca listopada;

Głuszec, cietrzew (koguty): 1 maja do końca roku;

Niedźwiedź (matka przy małych) cały rok w ochronie.

Oby głos mój nie przebrzmiał bez echa, jak rzeczywiście głos wołającego na puszczy!

Dr. Władysław Burzyński.

Niebylów, 31 stycznia 1926 r.

Podając powyższe, zaznaczamy ze swej strony, iż ilościowy stan głuszców i cietrzewi przedstawia się obecnie bardzo dobrze, wobec czego jesteśmy odmiennego zdania od Sz. Autora i uważamy, iż bez uszczerbku dla zwierzostanu, można będzie strzelać głuszce i cietrzewie na toku. Godzimy się natomiast na ochronę niedźwiedzie. — (Przyp. Redakcji).

BROŃ i AMUNICJA.

W sprawie „Fuolu“. — O „Pociskach“ słów kilka.

W styczniowym numerze „Przeglądu M. i Łowiectwa Polskiego“ poruszył p. Brandt kwestję płynów do czyszczenia broni, które sprowadzać musimy z zagranicy, ponieważ nasz krajowy „Fuol“, przy używaniu prochu bezdymnego, nie wystarcza.

Sprawę tę podchwycił w nr. 3 p. Rudzki podając niewątpliwie świetny sposób domowego przyrządzania płynu do czyszczenia broni.

Chciałbym stanąć w obronie potępionego przez p. Brandta „Fuolu“, który wyrabiają Zakłady Chemiczne T. A. w Głównej pod Poznaniem.

Używam od dłuższego czasu do czyszczenia broni śrutowej jedynie „Fuolu“, a choć przeważnie strzelam prochem bezdymnym Rotweilera — jednorazowe przeciągnięcie luf po strzałach pakułami, dobrze zwilżonemi „Fuolem“, zabezpiecza je zupełnie od wszelkie rodzaju nalotu, rdzy itp. Butelka „Fuolu“ kosztuje dziś 80 gr. (kosztowała już 60 gr.). Środek ten więc każdemu jest przystępny.

Ostrzegam jednak przed używaniem „Fuolu“ do broni kulowej! Proch w nabojach kulowych, zawierający inne, niż „Rotweilera“ składniki, bardzo jest dla luf niebezpieczny. Przetarcie „Fuolem“ nie wystarcza zupełnie, już następnego dnia spotyka właściciela niemiła niespodzianka: — lufa zupełnie czarna, tak, że prawie gwintów nie znać, a pakuły po przeciągnięciu rdzawo-czerwone!

Do czyszczenia broni kulowej używam „Ballistolu“ — przyznać muszę, że nie zawodzi. Butelka jednak kosztuje koło 5 zł., co w stosunku jest niemałym wydatkiem, jeśli się do czyszczenia wszystkiej swej broni „Ballistolu“ używa — strzelając wiele.

Co do mnie, urządziłem się w ten sposób, że kupuję jedną butelkę „Ballistolu“ i tego używam do luf gwintowanych. Ponieważ naogół wiele mniej się strzela kulą, niż śrutem, przeto butelka za 5 zł. starczy mi na rok bez mała. A dubeltówkę, śrutówkę, czyszczę jedynie „Fuolem“ — i mogę to gorąco tym, którzy zaufania do polskiego wyrobu jeszcze nie nabrali — polecić.

W ubiegłym sezonie strzelałem prawie wyłącznie nabojami „Pocisk“. Stwierdzić muszę, że nie są one bynajmniej gorsze od innych, pozwalają z dobrym rezultatem na dalekie strzały. Na 100 naboi jeden tylko „puścił“ dopiero za drugim razem

Co do łusek, byłbym za wzmocnieniem kartonu, — podzielam także zdanie p. Krakowiaka, że byłoby bardzo wskazanem, aby łuski nosiły jakiś ozdobny napis. Jest to w gruncie rzeczy szczegół drobny, a jednak dla wielu myśliwych decydujący o wyborze naboi.

Absolutnie także, jak i wielu innych panów myśliwych, jestem za zmianą rodzaju kapiszona na „Gevelot“, jako najpewniejszy i najwygodniejszy przy ponownem ładowaniu łusek.

Aleksander Janta - Polczyński.

Polski proch bezdymny.

Państwowe Wytwórnie Materjałów Wybuchowych ogłaszają i polecają: prochy myśliwskie czarne i bezdymne, jednak nie widać, ażeby myśliwi tem się zainteresowali, albowiem w „Przeglądzie Myśliwskim“ Nr. 2 czytam: „W ładunkach fabryki „Pocisk“ wszystkie części składowe, oprócz prochu bezdymnego, są wytworzone w kraju; ten ostatni pochodzi z Anglji, fabr. Eley, gdyż, niestety, nie posiadamy jeszcze odpowiedniego fabrykatu“.

Jeżeli „Przegląd Myśliwski“ poświęcił tyle miejsca, a myśliwi zachodu na próby łusek i naboi „Pocisk“, to czemużby nie zająć się tak ważną sprawą, jak próbowanie krajowego myśliwskiego prochu bezdymnego i dzielenie się na łamach „Przeglądu“ rezultatami. Możebyśmy w ten sposób doszli do poznania, a co za tem idzie, do używania tak ważnego artykułu krajowego.

Ja będę robił próby z tym prochem i napiszę o rezultatach, ale dobrzeby było, żeby inni poważni myśliwi, jako też towarzystwa łowieckie, zajęły się tą sprawą.

A. Krakowiak.

Z ruchu wydawniczego.

„Sonety morskie“ Marjana Zaruskiego. Wyd. M. Arcta, wydanie drugie.

Myśliwi kochają przyrodę i czerpią z jej skarbnic „dobrą myśl“. Dlatego każde dzieło poetyckie mówiące o przyrodzie leśnej czy polnej, górskiej czy morskiej, trafia przedewszystkiem do serc myśliwskich.

„Sonety morskie“ Zaruskiego obok jego „sonetów polarnych“, to hymn na cześć morza tak piękny, iż czytelnik przeżywa śnieżne epopeje samojedzkie i dalekie podróże poety-żeglarza, który „w poświstach burz i w ciszy bezdennej“ mórz, kąpał ducha swego, jak ptak kąpie skrzydła...

Wiersz Zaruskiego, rozkochany w morzu, unosi się nad błękitem wód, jak biała mewa, śpiewa, jak wzbierająca fala, zapala się w mroku — jak latarnia, wskazująca drogę śmiałym żeglarzom... Ma w sobie upojną gorącość mórz południowych, to znowu zimny majestat lodowatych oceanów.

Piękna jest „Piosnka Samojeda“ o białym lisie polarnym, o tem, jak „psy skulone przy saniach drzemią sennie i drżą“, „głucho szumi wichura, bije śniegiem po czumie“, a „gromadka myśliwych słucha piosnki w zadumie“, o „ubogich połowach“...

Piękny jest wiersz o mrozie „groźnym, strasznym mieszkańcu polarnej krainy“:

„Ptactwa nigdzie nie widać, zwierz spieszy z ukrycia,
Myśliwy zaskoczony znienacka w tej porze,
szuka schronienia w śniegu lub w norze zwierzęcej“,

polarną nocą, gdy „umarło słońce“.

Lecz morskie poezje Zaruskiego posiadają trwałą wartość nie tylko z punktu widzenia poetyckiego. W odmęcie powszechnego niezrozumienia, czem jest i czem powino być dla Polski jej morze, natchnione utwory autora wiersza „Na wachcie“, spełniają doniosły czyn obywatelski: stoją „na wachcie“.



prof. Janusz Domaniewski.

Janusz Domaniewski: „Z życia naszych ptaków“. Sikory. (Książnica Atlas. Lwów-Warszawa).

W zimowej puszczy—białej i milczącej—każdy z nas stojąc na stanowisku, wsłuchuje się w głosy leśne, w szelesty niedosłyszalne — nim ruszy naganka! I wówczas nieraz mamy wrażenie, iż w tej białej ciszy „każdy dźwięk może być tylko przykrym dysonansem“.

Lecz w przyrodzie niema dysonansów — jak słusznie pisze prof. Domaniewski: „Z głębi boru dochodzi nas, niby głos srebrzystego małego dzwoneczka, dźwięczny, wesoły okrzyk. Za chwilę słychać go bliżej i oto nagle tam, przed nami w zwisający na końcu gałązki sosnowej płat okiści w sam jego środek z dziecinnym rozmachem małego łobuza siada bogatka... Kilka bystrych uderzeń skrzydełkami i już nasza sikorka siedzi na sęku. Czyści sobie dziób, kręci zabawnie główką...“ „Milczący w jakimś zaklęciu las przebudził się nagle ze snu. Coraz więcej, bliżej i wyraźniej słyszymy maleńkie, delikatne głosiki....“

Sikorki — te srebrzyste dzwonki lasu, te małe łobuzy gęstwiny — śpiewne przyjaciółki myśliwego — stanowią temat ostatniej pracy prof. Doma-

niewskiego — Opowiada nam autor o sikorach modrych i lazurowych, ubogich i bogatkach, czarnogłówkach i sosnówkach, czubatkach i raniuszkach, remizach i wąsatkach, o całym tym wesołym, rozkosznym, świegotliwym roju, który ożywia las zimowy i napełnia go radosnym szczebiotem.

W książeczce znajdujemy charakterystykę rodziny sikor, opis zbiorowego życia sikor w jesieni i w zimie oraz cenny klucz do określania krajowych sikor.

Myśliwym możemy polecić gorąco tę książeczkę: każdy mieszkaniec pola i lasu winien być ich dobrym znajomym.

Książnica Atlas zapowiada dalsze tomiki „Z życia ptaków“ prof. Domaniewskiego: w druku „Pełzacze, kowaliki i mysikróliki“; w przygotowaniu zaś: 1. kaczki, tracze, gęsi i łabędzie, 2. perkozy, 3. dzięcioły.

Życzyć należy Sz. Autorowi, by z czasem wzbogacił naszą literaturą dziełem, obejmującem życie wszystkich ptaków, znajdujących się na ziemiach polskich. *Julj(?)n Ejsmond.*

Z ostatniej chwili.

NOWO WYKRYTE BOBROWE ŻEREMIA.

W woj. Nowogrodzkim (pow. Nowogrodzki) w gm. Lubcza, w starym korycie Niemna, tworzącym dziś małe jeziorko Łuka, łączące się z Niemnem, świeżo wykryto kolonję bobrów. Zauważono przy brzegu jeziorka tamę z gałęzi, nad brzegiem w liściastym zagajniku drzewa pościnane przez bobry. Spostrzeżenia te doprowadziły do wykrycia bobrowych żeremi na jeziorku Łuka.

Z Towarzystw Myśliwskich.

Z WALNEGO DOROCZNEGO ZEBRANIA KÓŁKA ŁOWIECKIEGO „TUR“ W WARSZAWIE.

W dniu 7 lutego 1926 r. w obecności 34 członków Kółka Łowieckiego „Tur“, odbyło się roczne ogólne zebranie w lokalu Związku Kupców Chrześcijan, przy ulicy Grzybowskiej Nr. 57, z następującym porządkiem dziennym:

1) Zagajenie, 2) wybór przewodniczącego, 3) Sprawozdanie Zarządu i Komisji Rewizyjnej, 4) Wybór nowego Zarządu i Komisji Rewizyjnej, 5) Wolne wnioski.

Następnie p. J. Głodkiewicz, skarbnik Kółka, zapoznał zebranych ze stanem kasy i przedstawił budżet na rok 1926/27, który zebrani zaakceptowali.

Dotychczasowy prezes Kółka, p. L. Koziołek, zgłosił rezygnację z prezesury, z powodu wyjazdu.

Wybrano nowy Zarząd na rok bieżący: prezes p. Jan Głodkiewicz, wiceprezes p. Walerjan Jotkowski, sekretarz p. Edward Hakiel, skarbnik p. Piotr Paciorek, łowczy gospodarz p. Feliks Mazur, zastępcy łowczego pp. Emil Ruppel i Aleksander Urbański.

Do Komisji Rewizyjnej wybrano: p. Bolesława Sypniewskiego, p. Józefa Cybulskiego, p. Wacława Gierosia.

Ogólne zebranie uchwaliło przystąpić do urządzenia będącej w stadjum organizacji strzelnicy z broni śrutowej do talerzyków.

Listy do Redakcji.

List p. J. Kawczyńskiego, umieszczony w Nr. 6 (78) „Przegl. Myśl. i Łowiectwa Polskiego“ o łapaniu żywej zwierzyny w nadleśnictwie Krośniewice rzekomo spowodowany został troską o poprawienie zwierzostanu.

Na jak wysokim poziomie stoi zwierzostan w Krośniewicach wiadomo całej tej rzeszy panów hodowców-myśliwych, którzy setkami listów zasypują p. Lazara, nie mając słów wdzięczności za akuratne i wzorowe dostarczanie obstalowanej zwierzyny. Toć przecież Krośniewice są nieomal jedynym źródłem w Polsce skąd czerpie i zasila swój zwierzostan cała Rzeczpospolita.

Na jakim poziomie stoi kultura lasu w Krośniewicach niech dowodem służy zasadzenie w tym roku już do stu hektarów zagajników.

Nikt nie sprowadza zwierzyny w sezonie polowania tylko po sezonie, bo zanimby doczekał się z niej potomstwa, wybiłby ją w czasie polowania, cóż więc za cel miałoby wcześniejsze sprowadzanie zwierzyny? Ogólnie wiadomo, że nadmierna ilość samców psuje zwierzostan, a więc samców tych pozostawiać nie wolno, gdyż nadmierna ich ilość byłaby zabójczą dla samic. To też usuwanie samców w tych warunkach jak dawniej za okupacji rosyjskiej, tak i dziś odbywa się za pozwoleniem władz państwowych.

Również nieuzasadnioną jest troska p. J. Kawczyńskiego o bezwzględny spokój w rewirze, napewno nie naruszy go p. Lazar, który cały swój wysiłek, nie żałując zdrowia, skierował w tym celu. Może więc p. J. Kawczyński być spokojnym, że p. Lazar spokój w rewirze zachowa, aby go tylko nienaruszali różni przygodni myśliwi, dla których istotnie niema żadnych praw obowiązujących. *Dr. Szybowski.*

Odpowiedzi od redakcji.

WP. T. Mostowski. Strzelać do szczupaków w czasia tarła niewolno.

Ostrowskie Tow. Łowieckie. Prosimy o fotografje — zwłaszcza o piękne rozkłady, lub o zdjęcia z życia zwierząt łownych.

Wrzos. W sprawie, poruszonej przez Sz. Pana, należy się zwrócić do Zarządu Centr. Związku Stowarzyszeń Łowieckich, Nowy Świat 35. Co do dzierżawy terenów — obowiązują dawne przepisy.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.

Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Gen. Adolf Kuczewski, Wł. Janta-Połczyński, Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska) = **7 zł.** miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595 **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.;** 1/4 str. **37.50 zł.;** 1/8 str. **22.50 zł.;** 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.